

DUŻYFORMAT

Dłużnicy i egzekutorzy

Jacek Hugo-Bader 08-11-2004 ,

Bierze na gębę. Jeździ samochodem żony. Nagrywa rozmowy. Kupuje na raty. Idzie na strych z liną. Oto polski dłużnik

Zatrzymałem się przed światłami. Z renówki, która stanęła obok, wychylił się ostrzyżony na żarówę mężczyzna. Wrzucił mi do samochodu zaklejoną kopertę. Na następnych światłach zajrzałem do środka.

W kilka sekund koszula przykleiła mi się do pleców. Na zdjęciu była moja córka. Olcia stała przed domem naszych przyjaciół w małym miasteczku pod Stuttgartem. Zdjęcie zrobione było z oddali.

W panice zacząłem kombinować, jak to wszystko odkręcić. Skąd skurwiele mogli wiedzieć, że córkę wysłałem na wakacje aż do Niemiec?! Specjalnie wybrałem taki termin, kiedy wszyscy domownicy się rozjadą. Nawet psa oddałem do rodziców. Byli jednak cwańsi.

Tacy cwani, a nie zorientowali się, że to ja napuściłem ich na samego siebie.

Gra wstępna

Kiedy chodziłem do nich jako dziennikarz, udawali świętych, zapewniali, że brzydzą się przemocą, nie stosują żadnych bandyckich ani ubowskich metod, ale kiedy przedstawiałem się jako Marcin Maciejewski - przedsiębiorca, od którego kumpel pożyczył 300 tysięcy i nie chce oddać, raptownie tracili dziewictwo.

Nie chodziłem do bandziorów, którzy czekają na podobne zlecenia w kilku warszawskich restauracjach, ale do legalnych firm windykacyjnych i kancelarii adwokackich specjalizujących się w odzyskiwaniu długów. Ich reklamy są w Panoramie Firm i książce telefonicznej. Mają biura w eleganckich miejscach Warszawy.

Wymyśliłem im zadanie najtrudniejsze z możliwych, sprawę, która w polskich sądach jest nie do wygrania. Mój kumpel, to znaczy Jacek Hugo-Bader, stawiał dom i pożyczył ode mnie pieniądze. Dałem mu 300 tysięcy na gębę, bez świadków i od roku nie mogę się ich doczekać. Kumpel mnie unika.

Pierwsza rozmowa kosztowała 250 złotych plus 22 procent VAT. (Na fakturze było napisane, że za "consulting").

Dzięki znajomemu detektywowi na wszystkie spotkania zabierałem urządzenie, które pokazywało, że tuż obok mnie pracuje inne urządzenie elektroniczne. Firmy windykacyjne lubią ukradkiem nagrywać swoich klientów. Tak na wszelki wypadek, gdyby dłużnik dostał zawału (tak jak ja niemal dostałem w samochodzie), a zleceniodawca zechciał wszystko zwalić na firmę, że wbrew ustaleniom działała zbyt gwałtownie.

Prawie każdy wierzyciel mówi, że mogą dłużnikowi nawet łeb ukreć, byle on dostał swoje pieniądze. Ja też tak mówiłem. W świetle prawa to jest zachęta do przestępstwa, a nawet zlecenie zabójstwa.

Pierwsza czynność miała kosztować około trzech tysięcy.

Musiałem nakłonić mojego kumpla do przyścia na spotkanie i tak z nim rozmawiać, by z jego ust padło potwierdzenie, że wzięł ode mnie pieniądze. Korzystając z pluskwy albo mikrofonu kierunkowego, moi windykatorzy mieli nagrać to wyznanie.

Z takim dowodem w rękę miałem podpisać pełnomocnictwo do reprezentowania mnie w sądzie przez prawników firmy i umowę, że należy im się 15-30, a być może nawet 60 procent odzyskanej kwoty (nawet gdyby nie udało się wyszarpnąć wszystkiego).

Wybrałem firmę Katana Consulting s.c., bo nie chcieli zaliczki. (Katana to jest miecz samurajski). Podobało mi się, że zabierali się do roboty bez fabrykowania dowodów audio.

Myślałem, że tak jak wszyscy zaczną delikatnie, od wysyłania listów z wezwaniem do zapłaty, nękania nocnymi telefonami z pogrózkami, łomotaniem w drzwi, rozmów z sąsiadami. Potem na osiedlu pokazałyby się ulotki z moim adresem zapraszające do agencji towarzyskiej. Na ulotce byłby telefon i zdjęcie "bezpruderyjnej Aguni", w której rozpoznałbym własną żonę. Te same karteluszkę zostałyby wetknięte za wycieraczki samochodów naszych rodziców.

To wszystko są techniki stosowane przez bandytów, a także przez wiele z 800 polskich firm windykacyjnych (w żadnym europejskim kraju nie ma tylu), które bardzo często dają dłużnikowi do zrozumienia, że wierzyciel poprosił o pomoc mafię.

Na pewno któregoś ranka znalazłbym na wycieraczce fekalia, a w skrzynce na listy kopertę z rybim łbem.

Po tym wszystkim planowałem rozwiązać umowę z Kataną (regulując wszystkie koszty), bo po fazie "argumentów" psychologicznych przychodzi kolej na argumenty dotkliwe materialnie.

Podpaliliby drzwi do mieszkania, wybili szyby w oknach, otruli psa, obsypali samochód ziarnem. Nim rano wstałbym z łóżka, gołębie wszystko by wydziobały, po czym samochód wygląda, jakby ktoś wypalił do niego z cienkiego śrutu. Następnie przerzuciliby się na dzieci. Ciągła jawna obserwacja nawet dla dorosłych jest nie do zniesienia, do tego SMS-y z groźbami do syna i świńskie do córki. Wreszcie w bagażniku zawieźliby mnie do lasu i kazali kopać grób...

Nie przewidziałem tylko, że Katana lubi ciąć koszty i po kilku telefonach przechodzą do konkretów z pominięciem gry wstępnej. Zaczęli od zdjęcia.

Chudziaki

Dwa rozdziały, z których dowiadujemy się, jak można wpaść w długi. Raczej dla czytelników, którzy lubią się wzruszać

Człowiek-demolka

- To tak, jakby oblaży cię mrówki - mówi Tomasz Wojewódzki łamiącym się głosem. - Jedna cię ugryzie, to nie ma problemu, potem dwie-trzy, trochę boli, ale można wytrzymać, ale jak zaczyna kąsać całe stado, to cię zagryzą na śmierć. Właśnie tak go zdołowali.

Byli jak bracia z "Pogody dla bogaczy". Różnili się wszystkim. Tomkowi wszystko się udawało, młodszy Jarek czegokolwiek się dotknął - kończyło się katastrofą.

- Ja byłem ten lepszy i mądrzejszy - mówi Tomek. - Chodziłem do technikum, a brat do zawodówki. Ja nawet byłem ładniejszy! W wojsku też mu się nie udało, bo skakał do okopu i połamał nogi. Potworny pechowiec! Jego teść umarł, kiedy brał ślub! Sto lat, toasty, a teściowa brata urządza lamenty. Jaki ślub, takie potem życie miał.

Jeden prowadzi dużą firmę handlową, drugi był robotnikiem u kamieniarza. Tomek nie chciał zatrudniać Jarka u siebie, bo wiedział, że u brata nic nie będzie robił.

- A wywalisz brata z roboty, to jak spojrzysz matce w oczy? To już wolałem ustawić go na swoim. Pomogłem mu założyć firmę, mały punkt handlowo-usługowy z kosiarkami i piłami.

Jarek wziął kredyt, kupił starego forda na raty, narzędzia, komórkę. Przez rok szło mu całkiem dobrze.

- Pięć-dziesięć tysięcy to nie jest dużo - mówi Tomek - ale on był w głowie przygotowany na 800 zł. Tyle się u nas zarabia w Ostrowcu. Lekko oszalał, prezenty dla żony, dzwonił bez opamiętania... Brał nowe kredyty, pożyczal od ludzi. Problemy się zaczynają, kiedy przestajesz płacić rachunki. Wyłączają ci telefon i straszą sądem, to ich olewasz i bierzesz telefon od innego operatora. Trzeci nie chciał dać, to brat wziął na ojca, ale wszystko zaczęło się walić. Co mógł, ukrywał przed rodziną, bo każde ponaglenie z ZUS-u, z banku, ze skarbowego to straszna awantura w domu. Brat mieszkał z żoną u naszych rodziców.

Jarek nie chodził do pracy, żeby przed furtką przejmować od listonosza korespondencję. Zaczął pić. Firmie windykacyjnej Włócznia z Lublina, która wykupiła wierzytelności jednej z telefonii komórkowych, był winien 560 zł. Dzwonili albo przysyłałi list prawie codziennie. Pisali, że okleją okolicę plakatami, jaki z niego kanciarz.

Największe długi Jarka spłacili rodzice. Wzięli kredyt, co mogli, zanieśli do lombardu.

- Ja też mu pożyczyłem mnóstwo pieniędzy - mówi Tomek - ale wreszcie powiedziałem, żeby mi zszedł z oczu.

- Pewnie pan powiedział "spierdalaj".

- No tak. Miałem wtedy straszny okres. Na spłatę leasingów nie miałem, a ten pożyczka od mnie kamerę i zastawia w lombardzie. Potem rozbił samochód po pijaku. Okazało się, że samochód był kradziony. Znowu się sypnęły wezwania do sądu: w sprawie wypadku, w sprawie samochodu, odszkodowania dla ofiar i te co zawsze. Z ZUS, ze skarbowki, z banków, Włóczni, od Kruka i Kaczmarskiego. Katastrofa! Cały plik każdego dnia. Zaszczuli go tymi listami.

Złatwili korespondencyjnie. Czuję się winny, bo 30-letniego faceta chciałam usamodzielnąć, a ten czego się nie dotknął, to spieprzył. Jak ktoś w cętki się urodził, to w cętki umrze.

Tylko jedna, jedyna rzecz w życiu mu się udała.

Śpiewaczka na długi

Pani Magda pokazała mi miejsce na skórzanej kanapie, które przez lata wysiedział jej mąż. Nie chciała, żebym je zajął.

- Strasznie się kochaliśmy - opowiada. - Kiedy się rozwiedliśmy, wszyscy myśleli, że to jest rozwód fikcyjny z powodu spraw majątkowych.

Bernard Chudziak prowadził z Henrykiem, przyjacielem ze studiów, firmę budowlaną w Warszawie. Zatrudniali ponad sto osób. Problemy zaczęły się od Rogalskiego, dilerza opla, który nie zapłacił im za budowę salonu na ulicy Piłsudskiego w Warszawie. Kredyt, który wzięli na tę budowę, spłacali nowymi kredytami i pieniędzmi z innych budów. Chcieli ratować firmę, utrzymać zatrudnienie. Mieli ponad milion złotych długów.

- W połowie sierpnia 2001 roku wróciłam z Martą, naszą córką, z wakacji, a mąż mówi, że stracimy dom, bo muszą ogłosić upadłość. Dom był zabezpieczeniem któregoś z kredytów. Nasz ukochany dom, dorobek życia. Byliśmy zrozpaczeni. Przyszło Boże Narodzenie. Dostałyśmy od męża kolczyki. Marta przypadkowo rzuciła okiem na rachunek od jubilera. Był wystawiony na trzy pary.

- Babska czujność...

- Wszystko powiedział. To artystka. Śpiewaczka operowa. Trzy lata ode mnie młodsza. Bernard mówił, że bardzo ją podziwia, bo tak świetnie sobie radzi, sama prowadzi dużą firmę. Jest bogata i we wszystkim mu pomoże, bo zna prezydenta miasta. Dzięki niej zdobędzie zamówienia i zacznie budować. Nigdy nie powiedział, że ją kocha.

- Był atrakcyjnym mężczyzną?

- Tak - przytakuje pani Magda - ale kłopoty bardzo go postarzyły. Zmarszczył się, zgarbił. Kazałam mu się wyprowadzić. Odjeżdżał dzień przed sylwestrem. Ja ryczałam w oknie na parterze, Marta w oknie na piętrze, a on w samochodzie pod domem.

- Nie uciekał szczęśliwy?

- Nie. W Nowy Rok był z powrotem. Potem były dwa szalone miesiące. Bardzo agresywnie o siebie zabiegaliśmy. Całe noce nie spaliśmy, żeby rozmawiać i się kochać. Zaborczo, jakby ostatni raz w życiu. Tak było do marca.

W tym czasie Bernard Chudziak miał nową firmę budowlaną, ale nie szło mu dobrze. Nie mógł spłacać długów.

- Któregoś dnia wrócił do domu pijany - opowiada pani Magda. - Rzucił się, szalał, mówił, że go zdradzam. Chciał mnie dusić. Nie był pijakiem, ale następnego dnia nie poszedł do pracy i pił samotnie trzy dni. Nigdy taki nie był. Czwartego dnia zgodził się pójść do psychiatry.

W tym czasie Henryk, przyjaciel i wspólnik Bernarda, leżał w klinice psychiatrycznej na ulicy Sobieskiego. Depresja dopadła go kilka miesięcy wcześniej, kiedy upadła ich firma. Lekarz, który go leczył, także u Bernarda rozpoznał głęboką depresję. Nie chciał zostać w szpitalu. Leczył się w domu. Poprawiło mu się i w kwietniu znowu się wyprowadził. W październiku 2002 roku rozwiódł się aksamitnie z panią Magdą, a w styczniu następnego roku wziął ślub ze swoją śpiewaczką, która ogłosiła, że jest w ciąży.

- Ale nie wyglądał na szczęśliwego - wspomina pani Magda. - Smutny i przygnębiony, potwornie zmęczony. Wyglądał jak samobójca, który zerwał się ze sznura.

Szwindle I

Dwa rozdziały, w których więcej będzie o pieniądzach i przekrętach niż o ludziach. Raczej dla czytelników, których przy czytaniu gazet szlag nie trafia

Pożar w masarni

- Dwa tygodnie bym potrzebował, żeby stworzyć pozorny twór, który będzie wyglądał jak potężna międzynarodowa korporacja budowlana - opowiada Adam Kniewski, członek zarządu polskiego oddziału londyńskiej kancelarii windykacyjnej Havis. - Będzie wielkie biuro z salami konferencyjnymi, komputerami, dywanami, samochodami, a wszystko za darmo, bo wzięte na kredyt albo w leasing. Potem bym założył konta bankowe, zatrudnił pracowników i wystartował w przetargach. Oczywiście bym wygrał, bo moje oferty byłyby najtańsze. Po podpisaniu kontraktów rozpocząłbym inwestycję, zgarnął kasę i odparował. Nic by nie zostało. Nawet jedno krzesło w biurze. Najwięcej podobnych historii jest w budownictwie.

To tylko jeden z numerów, jakie mogą wykonać sprytni przestępcy. Wszystkie budowlane kanty polegają na produkowaniu monstrualnych długów.

- Budynek, w którym rozmawiamy, z łatwością bym wybudował za połowę jego wartości - mówi Kniewski.

Mechanizm oszustwa polega na wysysaniu krwi przez generalnych wykonawców. Już na etapie planowania budowy zakładają, że nie zapłacą podwykonawcom i dostawcom, czasem nawet 60-70 procent pieniędzy. Tak robią nawet wielkie, bardzo znane i niby poważne spółki akcyjne. Tak budują biurowce, hotele, centra handlowe.

- Prawie wszystkie supermarkety w Warszawie, głównie francuskie, po jakiejś części, zostały zbudowane z wykorzystaniem tego mechanizmu - mówi Kniewski.

W trakcie budowy generalny wykonawca powołuje nową spółkę-córkę, która bardzo podobnie się nazywa. To ona jest teraz wykonawcą, ona podpisuje kontrakty z podwykonawcami i dostawcami. Wreszcie forsa się kończy, spółka-córka plajtuje, przestaje płacić, ale inwestycja jest ukończona i inwestor ją odbiera.

Spółka-matka jest czysta, bo płaciła córce zgodnie z kontraktem zawartym między nimi. Komornik nie ma co zlicytować upadłej córce, bo ona nie ma nic. Wszystko, czego potrzebowała, wynajmowała za ciężkie pieniądze od swojej matki (bo chodzi o to, żeby jak najwięcej kasy przepłynęło do matki, a córka jest tylko po to, żeby generować koszty, a więc długi).

W zarządach obu spółek są ci sami ludzie, ale z punktu widzenia prawa to zupełnie inne podmioty, do tego w spółkach akcyjnych i z o.o. zarząd nie odpowiada osobistym majątkiem. Częściej jednak się okazuje, że w spółce-

-córce fikcyjnie dowodził tak zwany słupek - emeryt, który w razie jakiegś obsuwu do końca życia będzie spłacał po sto złotych ze swojej emerytury.

Każda taka inwestycja kończy się upadkiem dziesiątków małych i średnich firm. Upadkiem Bernardów Chudziaków, dostawców betonu, stali zbrojeniowej, malarzy, posadzkarzy, których powalić na kolana może już jedna niezapłacona faktura na sto tysięcy.

- Na warszawskim rynku budowlanym 20-30 procent kontraktów wygląda podobnie - mówi Kniewski. - A procesy trwają latami. Małe, często rodzinne firmy nie mają siły, żeby walczyć z wielkimi korporacjami obstawionymi przez zastępy adwokatów, nie mówiąc o tym, że skarżący musi wpłacić do sądu wpis w wysokości ośmiu procent spornej kwoty.

Bernard Chudziak, który miał ponad milion złotych długów, nie miał 80 tysięcy, żeby się procesować ze swoimi dłużnikami.

W 2002 roku przedsiębiorca budowlany z Piekar Śląskich doprowadzony przez dłużnika do rozpaczki podpalił jego dom i masarnię, którą mu zbudował. W pożarze zginęła żona i dwoje dzieci masarza. On sam przeżył. Budowlaniec dostał najniższy z możliwych wyrok za zabójstwo. Osiem lat za zbrodnię w afekcie.

Egzekutorzy

- Miałem kiedyś klienta, który miesiącami wydzwaniał i nachodził z wekslem swojego dłużnika - opowiada Bogumił Zawadzki, szef agencji Secret Service. - Ten dłużnik to był wyjątkowy łobuz. Zawodowy dłużnik, który śmiał się chłopinie w nos.

Zawadzki był oficerem wojskowych służb specjalnych. Umówił się z łobuzem na negocjacje w jego domu. Był z dwoma współpracownikami. Łobuz zrobił kawę, znalazł nawet trochę gotówki na część spłaty. Położył ją na stole i na chwilę wyszedł do toalety.

Po kilkunastu minutach doszli do porozumienia. Pan Bogumił zbierał się ze współpracownikami do wyjścia, kiedy przez drzwi i okna wpadło do środka kilkunastu policjantów z brygady antyterrorystycznej. Powalili pracowników agencji na podłogę i skuli kajdankami. Wszyscy wyładowali na policyjnym dołku, a prokurator w tym czasie przygotował dla nich nakaz aresztowania na trzy miesiące.

- Łobuz zadzwonił z tego kibla na policję z błaganiem o pomoc - sapie ze złości pan Bogumił. - Mówił, że wpadła do niego mafia, że chcemy go wywieźć do Kampinosu, gdzie wykonamy wyrok za niepłacenie długów. Do tego łobuz miał skorbut, czy coś takiego, i zęby same mu wychodziły, to wyrwał sobie jednego i pokazuje policji, jak go skatowaliśmy. Potem się chwalił żonie, że ma dłużnika z głowy, bo wsadził windykatów do pudła. Na szczęście kobita darła z nim koty. Poszła na prokuraturę i zeznała, jak łobuz kombinował. Od tego czasu do dłużników zawsze chodzimy z dyktafonami. Oni też nagrywają. Prowokują, ubliżają i czekają, aż człowieka poniesie i coś odpysknie. Potem lecą z tym do prokuratury.

W 1990 roku podczas weryfikacji 25 tys. pracowników Służby Bezpieczeństwa odejść z pracy musiało 3595 z nich. Weryfikacji nie przeszło także 3028 milicjantów. Większość znalazła

zatrudnienie w branży detektywistycznej i w windykacji długów.

- A co z pańskim łobuzem od zębów? - pytam Bogumiła Zawadzkiego

- Powiesił się parę miesięcy później, nie oddając pieniędzy. Miał długi.

DALSZY CIĄG ARTYKUŁU NA STRONACH GAZETY WYBORCZEJ